

opusdei.org

"Aprite le finestre"...

Był to popularny, pełen wdzięku, wesoły, wpadający w uszy utwór, nawet dosyć złożony melodycznie. Mniej więcej wszyscy znali tę muzykę. "Chciałbym usłyszeć tę piosenkę, kiedy będę umierał" - skomentował ks. Josemaría.

26-06-2023

Ktoś zaciągnął jedną z zasłon z niebieskiego płótna, żeby przytłumić ostre światło, jaskrawe słońce, wchodzące przez okna. Była połowa dnia i połowa miesiąca marca 1957

roku. W *galleria del Fumo* grupa młodych mężczyzn – dziesięciu, dwunastu – rozmawiało popijając kawę. Ojciec był z nimi. Właśnie zjedli obiad. Za chwilę każdy miał wrócić do swojej pracy. Odbywała się pogawędka.

Nieformalna rozmowa bez zobowiązań dzisiaj nie przyniosła żadnego tematu o szczególnym znaczeniu. Mówiono o wszystkim i o niczym.

Posłuchaj Tonina Torrielli (1956)

Być może ten sam człowiek, który wstał, żeby zaciągnąć zasłony, wykazał się inicjatywą polegającą na puszczeniu płyty, płyty Nilli Pizzi, zwyciężczyni festiwalu w San Remo. W tempie *allegretto vivace* zabrzmiały pierwsze takty piosenki. Był to popularny, pełen wdzięku, wesoły, wpadający w uszy utwór, nawet dosyć złożony melodycznie. Mniej więcej wszyscy znali tę

muzykę. Natomiast Escrivie bardzo się podobała. Skupił się na niej, od kiedy pierwszy raz ją usłyszał:

Aprite le finestre al nuovo sole:

è primavera, è primavera.

Lasciate entrare un poco d'aria pura...

„Otwórzcie okna nowemu słońcu:
jest wiosna. Pozwólcie, żeby weszło
trochę czystego powietrza o zapachu
kwitnących ogrodów i łąk. To
wiosna, święto miłości!”

Już wtedy Mons. Escrivá zaskoczył
tych, którzy z nim przebywali,
mówiąc im:

Chciałbym usłyszeć tę piosenkę,
kiedy będę umierał.

Ksiądz Escrivá rzadko używał
czasownika morir. Kiedy to robił,

używał o wiele surowszej hiszpańskiej formy, z jej głębokim ładunkiem zwrotnym: morirse**. Kiedy mówił o swojej własnej śmierci, nie wydawało się, żeby wyobrażał ją sobie jako coś szybkiego, nagłego, co spadnie na niego jak grom z jasnego nieba, tylko jako powolny, męczący proces, ciężką chwilę. Można by powiedzieć, że przeczuwał ból odchodzenia. Być może dlatego nie mówił, „kiedy umrę” tylko „kiedy będę umierał”. Wyobrażał sobie śmierć jako oderwanie. Jako mocne i bolesne działanie – agon, walkę***. Walkę, która będzie od niego wymagać pokonania oporu. Ostateczną bitwę, do której zawsze się ćwiczył, „dlatego że, jak mówił, chodzi o wygranie ostatniej bitwy”.

Obecnie, siedząc w fotelu, niemal plecami do ciągu okien galleria, słuchał tej piosenki i momentami podśpiewywał po włosku:

*Już się otworzyła pierwsza czerwona
róża.*

To wiosna, to wiosna!

Powróciła również pierwsza jaskółka

i lata po przejrzystym niebie.

*Przybywa zapowiedzieć piękną
pogodę.*

Zakochani chłopcy i dziewczęta,

otwórzcie okna nowemu słońcu

na nadzieję, na marzenia...

To wiosna, święto miłości!

Patrzył po twarzach znajdujących się
tam, w galleria del Fumo, osób.

Álvaro del Portillo, Javier Echevarría,
Joaquín Alonso, Julián Herranz,
Giuseppe Molteni, Dick Rieman,
Bernardo Fernández Ardavín,
Severino Monzó... Tutaj się
zatrzymał.

Severino był wysokim i krzepkim
młodzieńcem. Kapłan, doktor
ekonomii i prawa kanonicznego, a
poza tym wszystkim, bardzo dobry
śpiewak. Ojciec uśmiechnął się do
niego łobuzersko i jakby
wyznaczając appuntamento,
spotkanie na bardzo odległy dzień,
powiedział do niego:

Zaśpiewasz mi ją... bez łez(1).

Bez łez. Przy niejednej okazji mówił
swoim dzieciom, że kiedy umrze, nie
chce „nawet czarnego krawata”(2). A
jeśli podobała mu się ta wiosenna
piosenka, to dlatego, że sugerowała
radość młodzieży, która idzie z
miłością na spotkanie. Piosenka
mówiła wprost o spotkaniu: la luna

già ha fissato appuntamento. W tym kierunku szedł jego zmysł śmierci. Miało to być pełne napiętności spotkanie dwojga zakochanych.

Niedawno, kiedy żegnałem się z pewnym młodym małżeństwem, wyrwało mi się: „Módlcie się za mnie, żebym był dobrym synem Bożym i żebym był wesoły do śmierci... chociaż umieranie jest dla nas jak wesele” (...). Nie pragniemy śmierci, ale kiedy powiedzą nam ecce sponsus venit, exite obviam ei! – ‘Wyjdź, bo nadchodzi oblubieniec, który cię szuka’ – poprosimy o wstawiennictwo Najświętszej Maryi Panny w tych strasznych chwilach oddzielenia ciała od duszy – niezwykle bolesnych, dlatego że dusza jest uczyniona po to, żeby była złączona z ciałem – i wyjdziemy radośnie na spotkanie Tego, który był miłością naszego życia!(3)

Było jasne, że Josemaría Escrivá odczuwa śmierć jako wesele.

Dlatego przychodziły mu na myśl następujące słowa z Ewangelii: „Pan młody idzie, wyjdźcie mu na spotkanie!”, gdzie opisywane jest właśnie wesele. Zaś ukazywała to jasno ta sama popularna Nilli Pizzi. Josemaría, będący tak wielkim miłośnikiem śpiewania „pieśni o ludzkiej miłości na sposób Boski” zapewne niejeden raz odmawiał swoją modlitwę bawiąc się tymi strofami. Wydawały się banalne, ale wykazywały zdumiewającą zbieżność z najpiękniejszą księgą o miłości, jaką kiedykolwiek napisano – z Pieśnią nad Pieśniami.

Rzeczywiście włoska piosenka opisuje nadejście dobrej pogody, kwitnące łąki, srebrzyste noce, nowe świecące słońce, zapach ogrodów, lot wiosennych gołębi zwiastujących piękną pogodę... I natarczywie

zaprasza: *aprite le finestre!* –
otwórzcie okna, żeby weszła miłość.

Natomiast w *Pieśni nad pieśniami* czytamy: „Ukochany mój! Oto on! Oto nadchodzi! Biegnie przez góry, skacze po pagórkach. Umiłowany mój podobny do gazeli, do młodego jelenia. Oto stoi za naszym murem, patrzy przez okno (...). Miły mój odzywa się i mówi do mnie:

«Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź! Bo oto minęła już zima, deszcz ustał i przeszedł. Na ziemi widać już kwiaty, nadszedł czas przycinania winnic, i głos synogarlicy już słyhać w naszej krainie (...) Powstań, przyjaciółko ma, piękna ma, i pójdź. Gołąbko ma, ukryta w zagłębieniach skały, w szczelinach przepaści, ukaż mi swą twarz, daj mi usłyszeć twój głos...»”.

Z pewnością jest to wezwanie, spotkanie, *appuntamento* na miłosne spotkanie.

Dla chrześcijanina życie nie jest dziwną przestrzenią między nicością a nicością, a śmierć nie jest nieubłaganym ciosem obracającym wniwecz życie. Dla chrześcijanina *vita mutatur, non tollitur*, życie się zmienia, ale się nie kończy. Nie ma tragicznego sensu śmierci z tego samego powodu, dla którego nie ma tragicznego sensu życia.

Co nadaje hart chrześcijaninowi? Co umacnia go, żeby znosić ciosy, cięcia i uderzenia życia? Co ostatecznie wyróżnia go spośród innych ludzi? Niewątpliwie nadzieja.

Chrześcijanin to człowiek, który ma nadzieję. Ma po drugiej stronie życia wszystkie autentyczne dobra – dobra bez kodu kreskowego i daty przydatności do spożycia. I w tamtym kierunku wędruje. Ostatecznie zatem chrześcijanin to człowiek, który podąża na spotkanie. A jego życie to „życie w

przygotowaniu” do tej końcowej stacji.

Jednakże istotne jest stwierdzenie, że nadzieja chrześcijanina to nie nostalgia za utraconym rajem. To pewność, że gdyby obiecane niebiosy nie były prawdziwe, Bóg okazałby się oszustem. O tę pewność zaś – trwalszą niż diamentowe mury – rozbijają się tchórzostwo, niepokoje, lęki.

Epikur usiłował wyśmiać ten strach przed śmiercią przy pomocy podchwytliwej gry słów: „Póki my jesteśmy, nie ma śmierci, a kiedy jest śmierć, nie ma nas”.

Kant, żeby przezwyciężyć strach wyobrażenia sobie, że jest „pogrążony w mrocznym grobie”, oparł się na idei, że trup już nie jest „nim”. Jeśli wychodzi się z tego założenia, nie ma sensu jakiegokolwiek rozmyślanie odnoszące się do kogoś, kogo „już nie ma”.

Natomiast Sartre wolał wpatrywać się w brzydotę cmentarzy albo w życie zmarłego jak w album wspomnień dla żywych: „Być martwym to być zastawem żywych”. A także: „Życie martwe to takie życie, którego stróżem staje się Ten Inny”.

W odróżnieniu od Epikura, Kanta czy Sartre'a największy ignorant, biedak i bezradny spośród chrześcijan może spać spokojnie, z wdziękiem kogoś, kto ma niezbitą odpowiedź na tę wielką zagadkę, na wielką „czarną dziurę” bez powrotu. Odpowiedź na wielką tajemnicę śmierci. Oto ona: śmierć nie jest czymś, co się zdarza, jest kimś, kto przychodzi.

Wszyscy, każdy w swoim czasie, będziemy albo byliśmy tym kimś, kto przychodzi. Kimś, kto przychodzi na spotkanie. Kimś, kto wreszcie, dostaje się pod opiekę Tego Innego... zupełnie Innego Boga... Boga, który poręcza swoją „obietnicę przyszłej

nieśmiertelności”, Boga, który gwarantuje „nadzieję szczęśliwego zmartwychwstania”. Stąd najśmielsze i najwspanialsze spośród chrześcijańskich wyzwań – odważyć się nie tylko na wiarę w nieśmiertelność dusz, ale mieć także nadzieję na zmartwychwstanie ciała. Z łatwością zapomina się, że zenitem, wspaniałym osiągnięciem chrześcijaństwa nie jest pokonany Ukrzyżowany, tylko wskrzeszony Zwycięzca.

Ta nadzieja pulsowała również od starożytności w głębi duszy ludu żydowskiego. Z żywiołową plastycznością wyraża to psalm: et exultabunt ossa humiliata, niech się radują kości, któreś skruszył!

W miesiącu sierpniu 1941 roku Josemaría Escrivá głosił rekolekcje w kaplicy akademika przy ulicy Diego de León w Madrycie, dla grupy młodych dziewcząt. Wśród nich były

Encarnita Ortega i Nisa González Guzmán. Ponad trzydzieści lat później Encarnita pamiętała dosłownie fragmenty pewnego rozważania, które ją zaskoczyło. Nigdy nie słyszała, żeby ktoś mówił w ten sposób o śmierci:

– Śmierć dla chrześcijanina, dla osoby z Opus Dei nigdy nie jest nagłą śmiercią. Nagła jest rzecz, której się ktoś nie spodziewa, a my stale szukamy Boga i na Niego czekamy. Nagła śmierć wygląda tak, jakby Pan zaskoczył nas z tyłu i, odwracając się, znaleźlibyśmy się w Jego ramionach(4). (...)

Kiedy Radio Watykańskie poinformowało oficjalnie o zgonie założyciela Opus Dei, rezydencja przy ulicy Bruno Buozzi 75 nie dawała rady spokojnemu, ale nieustającemu napływowi ludzi przybywających, żeby się modlić.

Josemaría Escrivá – genuit filios et filias – miał córki i synów swojego ducha rozsianych na obu półkulach. Przez radio, przez telefon, telegraficznie, nawet teleksem wiadomość wędrowała szybko. Zaś tam, dokąd docierała, wbijała swój podwójny oścień konsternacji i bólu. (...)

Okolo czwartej po południu, w kaplicy ośrodka La Masada w Torreciudad, pewien młody, wysoki i silny kapłan klęczał na klęczniku w ostatniej ławce. Spędził tam sporo czasu. Chwilami modlił się. Chwilami płakał. Chwilami puszczał wodze swoich myśli, przypominając sobie piękne rzymskie czasy, dei belli tempi romani...

Na drodze tych wspomnień pojawiła się nale owa piosenka Nilli Pizzi *Aprite le finestre*, która tak wiele spraw sugerowała Ojcu. I owo jego

pragnienie: „Chciałbym słyszeć tę piosenkę, kiedy będę umierał”.

Severino Monzó wiedział w owej chwili tylko jedno: Ojciec umarł nagle. Nie był chory. A zatem nie miał czasu na... umieranie.

Wiedział, że dla Ojca nie istniały już zegarki ani kalendarze, dlatego że przekroczył granicę, od której zaczyna życie wieczne.

Pochodzący z hiszpańskiego wybrzeża Morza Śródziemnego, impulsywny i sentymentalny, Severino podniósł podbródek, jakby rzucając wyzwanie powietrzu, i pomyślał: „dlaczego nie?” W kilka minut później na gramofonie w salonie ośrodka La Masada zabrzmiała muzyka katarynki, dźwięk dzwoneczków i głos Nilli Pizzi:

Aprite le finestre al nuovo sole:

è primavera, è primavera.

Lasciate entrare un poco d'aria pura...

Książd Monzó pogodnie wspominał z całą wyrazistością scenę słonecznego, wiosennego popołudnia na galleria del Fumo. To tak, jakby to oglądał ... Zasłony z płótna w kolorze niebieskiego francuskiego sera. Dym papierosowy krążący w niewiarygodny sposób pod światło słońca w kolorze pigwy. Ojciec, wybijający wesoły rytm głową i czubkiem buta, podczas gdy rozbrzmiewała muzyka *Aprite le finestre...* A później ów łobuzerski uśmiech pocziwego współdziału, jakby przenoszący go w bardzo odległy dzień:

Ty mi ją zaśpiewasz...

I Severino zaczął śpiewać, delikatnie, w takt ciągle obracającej się płyty.

Słodka a zarazem gorzka melodia rozbrzmiewała między ciemnymi zarysami jego skroni, błonami bębenkowymi, szczękami, podniebieniem... aż w gardle zrobiła mu się gula. Po zakończeniu strofy: „zakochane dziewczęta i zakochani chłopcy, otwórzcie okna nowemu słońcu...” nie mógł śpiewać dalej i jego śpiew przeszedł w szloch.

Puścił płytę jeszcze raz i jeszcze raz. Podobało mu się bardzo w ten sposób „opłakiwać swój ból”. Tak, Ojciec popatrzył na niego i powiedział: „Ty mi ją zaśpiewasz”. Jednak dodał coś jeszcze... co? Co?

Stopniowo zarysowywały mu się kontury wspomnienia... Dokładne, dosłowne zdanie brzmiało: „Ty mi ją zaśpiewasz... bez łez”.

1. Relacja ustna Severino Monzó dla autorki. Por. AGP, RHF T-07823.

2. Świadectwo Marlies Kücking.

3. Świadectwo Encarnación Ortegi Pardo (AGP, RHF T-05074).

4. AGP, RHF 21156, str. 51-52.

Pilar Urbano , *“Człowiek z Villa Tevere”*

.....

pdf | dokument generowany
automatycznie z <https://opusdei.org/pl-pl/article/aprite-le-finestre/> (17-03-2026)